

Nie myjemy się, zatrute studnie i dopływy Buga, nie ma zgody w Andrzejewie,
pisarze zaharowują się w Szulborzu, raki wyginęły zupełnie,
zbrodnia z zazdrości i wymordowanie rodziny w Jaszczułtach

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Chłopska chałupa gdzieś między Bugiem i Narwią.
Fotografia wykonana podczas niemieckiej ofensywy w lecie 1915 r.¹

Na początek streszczenia dwóch artykułów autorstwa doktora Józefa Tchórznickiego. Ten niezwykle i wielce zasłużony człowiek przyszedł na świat w Sabniach w powiecie sokołowskim. Po uzyskaniu w roku 1874 dyplomu na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego sporo czasu przepracował w Rosji m.in. jako lekarz wojskowy na wojnie rosyjsko-tureckiej. Po powrocie do kraju objął w roku 1884 stanowisko ordynatora w szpitalu w Sterdyni, ufundowanego, a później finansowanego przez Ludwika Górskiego, właściciela dóbr Sterdyń i Ceranów, a zarazem jednego z najświetlejszych polskich ziemian tamtych czasów. Podczas swej dziesięcioletniej praktyki w Sterdyni doktor Tchórznicki bacznie przypatrywał się warunkom życia okolicznej ludności, czego pokłosiem są liczne artykuły publikowane przede wszystkim na łamach pisma „Zdrowie”. Do chwili obecnej redakcji nie udało się dotrzeć do archiwalnych numerów tego periodyku, publikujemy zatem streszczenia zamieszczone w roczniku medycznym.

Swary, właśnie, zażarte spory – zamieszczane tutaj artykuły i notki prasowe są dowodem, że nie było i nie ma zgody w narodzie, co utrudnia, a wręcz czyni niemożliwym wprowadzenie choćby i najmniejszych zmian na lepsze. Dziś kolejny smutny przykład, tym razem z Andrzejewa.

Korespondent z Szulborza opisuje nawał pracy, jaki czeka tego, kto wybierze profesję pisarza i ostrzega, że będzie ktoś taki harował za marne pieniądze. Nauczyciele też lekko nie mają, bo gdy mrozy nadejdą, to temperatura w ich mieszkaniach niewiele się różni od tej na zewnątrz.

Ileż to razy każdy z nas słyszał o kryształowo czystych, pełnych wszelkiego pożytecznego stworzenia wodach, jakie nasze polskie rzeki toczyły, przed dajmy na to wiekiem. Poniżej najpierw doktor Tchórznicki podważa prawdziwość tych przekazów, a za chwilę i dobrze nam znany Dominik Staszewski dodaje do przykrego obrazu swoje kilka groszy, pisząc, iż mało, że raki w wodach Puszczy wyginęły, to niewiele brakuje, abyśmy i ryb tam już nie uświadczyli.

Każda społeczność, także ta wioskowa skrywa przeróżne makabryczne tajemnice. Dzisiaj notki prasowe o dwóch mrozących krew w żyłach wydarzeniach, do których doszło w Jaszczułtach, miejscowości leżącej mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Brańszczykiem i Długosiodłem.

To już czwarty i niestety ostatni owoc naszej rozmowy z panią Moniką. Naszej rozmówczyni zdało się, że zaczyna być w całym znaczeniu tego słowa ogrodniczką amatorką, a może nawet półprofesjonalistką. Nam wydają się te słowa nieco na wyrost i użylibyśmy raczej

¹ *Illustrierte Geschichte des Weltkrieges 1914/15. Dritter Band*, Stuttgart – Berlin – Leipzig – Wien 1916, s. 131.

słowa „dojrzała”. Już nie studiowała z taką chciwością specjalistycznych publikacji, jak to robiła zimą ubiegłego roku. Większość marketowych prospektów kończyła – jak to dawniej bywało – w pojemniku przeznaczonym na makulaturę, a procesor jej komputera przestał rozgrzewać się do czerwoności w poszukiwaniu ogrodniczych nowinek. Była spokojna, wiedziała już, czego chce i gdzie tego szukać. Przecież samych gatunków kwiatów, które warto by zasadzić, bo zdaniem reklamodawców „nie powinno ich zabraknąć w żadnym ogrodzie” są tysiące. Lepiej wybrać cztery, góra pięć, a o innych nie czytać.

Miejsce książek na parapetach i w kątach zajęły różne pojemniki, w których gromadziła użyteczne surowce wtórne, jak skorupki jaj czy fusy z kawy, bo według jej nadbużańskich sąsiadów wszystko to mogło się przydać do nawożenia roślinek, niszczenia ślimaków itp.

Błogi spokój zakłócały tylko prognozy pogody. Brak śniegu i przymrozki oznaczały przecież, że jej wątłe roślinki wymarzną. Natomiast za dużo śniegu to połamane gałęzie jej wciąż lichutkich drzewek. Prezenterki pogody nie przestawały irytować także zimą, bo choćby śniegu napadało dwa metry, koleje stanęły, linie energetyczne były pozrywane, a dachy zapadały się pod ogromnym ciężarem, to im wciąż było białego puchu za mało, bo przecież najważniejsza jest zimowa atmosfera i jazda na nartach. Nie obyło się bez trzykrotnego wyjazdu nad Bug, ot tak dla samego sprawdzenia, czy w chałupie i w ogrodzie nic strasznego się nie zadziało. Podczas ostatniej zimowej wizyty przeżyła coś magicznego. Na ciemnej plamie ziemi, ujrzała białą plamkę. Podeszła bliżej i zobaczyła, że to maleńki, kruchy przebiśnieg. Poczuli się, jakby dostała jakąś arcyważną nagrodę i stosownie do tak ważkiej chwili wykonała kilkanaście fotografii uroczego maleństwa. Ach, żeby już można wyjechać na dłużej – kopać, grabić, podcinać, sadzić i przesadzać, podlewać, zbierać nocą ślimaki, a choćby i zobaczyć pierwsze pęcherze na dłoniach.

Przyszedł czas przeprowadzki na sezon letni. Nie kłopotowała jednak znajomego z przyczepką, bo obyło się bez szału zakupów, a wszystko, czego potrzebowała, kupiła na miejscu. Na koncie pozostała nienaruszona okrągła sumka i gdyby miała chęć, to starczyłoby na egzotyczne wakacje w formule *all inclusive*, ale nie miała na to ochoty.

Po przyjeździe nad Bug lustrowała swój mały raj, sporządzając w myślach listę strat, a zarazem odczuwając jakiś twórczy niepokój. Wszystko było nie tak. Powinna wszyściuchno pozmieniać, poprzესadzać, poprzესtawiać, szczególnie zaś skalniak przenieść w inny kąt ogrodu. Już widziała siebie, jak dźwiga ogromne głazy... zbladła, była bliska omdlenia – na szczęście zza płotu bacznie obserwował panią Monikę jej sąsiad. Ten doświadczony warszawski ogrodnik amator, przeszedł wszystkie fazy rozwoju, później zaś obserwował je u innych i dobrze wiedział, że właśnie teraz, w tym właśnie momencie także pani Monika przeżyje kryzys. Natychmiast pospieszył z pomocą w formie flaszki wypełnionej własnego wyrobu orzechówką. Przy napitku spokojnie wytłumaczył, że atak perfekcjonizmu, powiązany z chęcią ulepszenia wszystkiego, to typowy przejaw rozwijającej się ogrodniczej namiętności. Każdy to przeszedł, a najlepszą metodą na poskromienie niezdrowych chęci do dokonywania rewolucyjnych zmian, jest chwila spoczynku na ławce, wsłuchanie się w szczebiot ptaków i kilka łyków nalewki – niekoniecznie orzechówki, na dowód czego przyniósł także piersiówkę z nalewką z pigwy. Uspokojona pani Monika teraz już bez specjalnej przykrości patrzyła na żółte plamy na trawniku, na urodzone przez ziemię kamienie, gwoździe i kapsle, na dwa połamane drzewka i trzy wyziębione krzewy. Nie szukała wytłumaczenia, nie denerwowała się, tak po prostu jest i trzeba się z tym pogodzić.

Zakasała rękawy, zabrała się do pracy i wkrótce usłyszała od sąsiada (tego od orzechówki), że dostrzegł wielką zmianę w jej ruchach, świadcząca, że wspięła się na wyższy etap ogrodniczej ewolucji, a mianowicie na artyzm. Kiedyś, jakby się nie starała, jakich dziwnych póż by nie przybierała, to nie obyło się, żeby niechcący tu coś zdeptała, a tam połamala. Teraz, w ogóle o tym nie myśląc, poruszała się po ogródku z tak profesjonalną gracją, że obywało się bez jakichkolwiek szkód.

Wkrótce, odczuła jeszcze większą dumę. Oto, ledwo zjechała na swą hacjendę, a założyła warzywniak. Łatwe to nie było, bo wymagało sięgnięcia po ostateczne środki w walce ze ślimakami (szczegóły tej batalii redakcja przemilcza, by nie urazić uczuć, co wrażliwszych czytelników). Nie zastanawiała się zbyt długo, ile wysiać rzodkiewki, szczypiorku, ogórków, a wyrosło tego tyle, że gdyby próbowała zjeść wszystko sama, to może uporałaby się z tym zadaniem przez jakieś dwa lata. Obdzwoniła znajomych, informując, że z chęcią się podzieli darami przyrody, ale odpowiedzią był prawie ten sam, niewiele się różniący tekst: „Bardzo dziękujemy, ale warzywniak mamy tuż pod nosem, więc nie widzimy sensu w stukilometrowej wyprawie po rzodkiewkę”. Poczęła zatem z satysfakcją dzielić się owocami swej pracy z sąsiadami, bo przecież każdy specjalizował się w określonych warzywach, a jeśli nawet w tych samych to w dojrzewających w różnym czasie odmianach. Wokół kwitła wymiana: sałata za kalarepę; marchew była przekazywana w oczekiwaniu, iż obdarowany odwdzięczy się pietruszką; ktoś przychodził w odwiedziny z botwiną w koszyku, a odchodził z młodziuteńką kapustą.

Znalazła na drodze kilka świeżych, końskich pączków. Nie mogła przejść obok tego pięknego daru natury obojętnie, bo przecież wszystko może się przydać do ulepszenia ogrodowej ziemi, a nic jej tak dobrze nie robi, jak ciepłutkie, pełne odżywczych substancji łajno. Cóż jednak znaczy kilka końskich pączków, gdy ma się kilkanaście arów podwórka? Postanowiła zdobyć adres rolnika, u którego można nabyć więcej tego skarbu, bo cóż tam przeróżne workowane fosfory, fosfaty, wapna i potasy, wiadomo przecież, że gnój to rzecz najlepsza, rzecz można rarytas. Poczęła zatem rozglądać się za sprzedawcą wyborowego gnoju. Nie było to łatwe, bo któż chciałby pozbywać się takiego cymesu? Wreszcie udało się, kupiła całą przyczepkę. Ach cóż to był za gnój, doświadczeni sąsiedzi chciwie pochłaniali nosami jedyny w swoim rodzaju aromat i kiwali z podziwem głowami.

Kupno gnoju było związane z kolejnym odkryciem pani Moniki. Tak bowiem, jak nie ma idealnej pogody, tak nie ma i idealnej gleby. Co byś człowieku nie zrobił, to zawsze będzie za ciężka albo za lekka, nazbyt kwaśna lub nadmiernie zasadowa, za sucha, albo za kleista. Jedyna rada to obornik. Z jego pomocą także nie stworzymy ideału, ale zbliżymy się do niego najbliższej.

Z gnojem związana jest niestety przykra historia. Zanim jeszcze pani Monika zdążyła porzucić zdobyty fenomen w stosownych ilościach pod krzewami, drzewkami i warzywami, pojawiły się dwa samochody wiozące grupkę przyjaciół. Trzeba w tym momencie zaznaczyć, że byli to ostatni przyjaciele pani Moniki, niegdyś współtowarzysze jej rozrywkowych eskapad. Oczywiście, tuż po serdecznym powitaniu, postanowiła pokazać im swój najnowszy nabytek, przedmiot zazdrości wszystkich sąsiadów – gnój. Na twarzach przybyłych nie malował się jednak podziw, a choćby i odrobina zrozumienia. Pojawił się tylko grymas obrzydzenia. Sięgnęli po telefony, bo okazało się, że zapomnieli o jakichś bardzo ważnych spotkaniach, po czym zniknęli w oddali. Pani Monika machała na pożegnanie, a smutek przeplatał się z uczuciem ulgi.

Rozmawialiśmy z panią Moniką we wrześniu, pod piękną, obrośniętą bluszczem i zmontowaną jej rękoma pergolą. Wokół rośło pełno różnobarwnych roślin, krzaków bzu, ale naszej rozmówczyni wciąż to nie wystarczało. Pokazywała, co zamierza przesadzić i gdzie coś nowego nasadzić. Na przyszły rok zaplanowała wykonanie altany.

Za kilka dni zamierza odwiedzić swych starych znajomych, których czytelnicy poznali w pierwszym odcinku tego serialu. Pani Monika odczuwa wielką satysfakcję, że nie została podobnym do nich dziwolągiem, ale ma nadzieję, że znajdą wspólne tematy do rozmowy i wymienią się swymi ogrodniczymi doświadczeniami.



[„Przegląd Piśmiennictwa Lekarskiego Polskiego za Rok 1889” 1891, T. 11]

Józef Tchórznicki, *Jak się lud myje.*

[wyjątek z artykułu zamieszczonego w piśmie „Zdrowie” 1889, nr 44, s. 576.]

Właściwie mówiąc, nie myje się wcale, ponieważ nie ma gdzie się myć. Latem jeszcze jako tako, kąpiele rzeczne pozwalają na utrzymanie czystości ciała, lecz w zimnej porze roku mycie ogranicza się do twarzy i rąk, a czasem przy wielkim święcie głowy; na całym tułowiu i kończynach zbiera się w ciągu kilku miesięcy warstwa brudu, zamykająca naturalne otworki skórne, co jest powodem różnorodnych zaburzeń w ustroju. Aby złemu zapobiec, autor proponuje budowanie po wsiach łaźni, podaje plan i koszt budowy i nawołuje do energicznego współdziałania w tej tak ważnej sprawie zdrowotnej.

[„Przegląd Piśmiennictwa Lekarskiego Polskiego za Rok 1890” 1892, T. 13]

Józef Tchórznicki, *Nasze rzeczki nadbużne, o zanieczyszczeniu rzeczek i studni.*

[streszczenie artykułu zamieszczonego w piśmie „Zdrowie” 1890, nr 60, s. 261.]

Na podstawie obserwacji trzech rzeczek wpadających do Buga, autor komunikuje, jak ludność miejscowa przez nieświadomość czy też wrodzone niechlujstwo przyczynia się do zanieczyszczenia lub zatrucia (moczenie konopi) wody. Woda w studniach i stawach folwarcznych jeszcze łatwiej się zanieczyszcza wskutek małej głębokości lub niedostatecznego ocembrowania. W końcu autor podaje, co trzeba robić, ażeby wodę rzeki zachować w stanie naturalnej czystości. Tutaj między innymi d-r T. stawia na zwyczaj stawiania domów tuż nad wodą, na nieszlamowanie stawów i błotnistych dołów, na moczenie konopi *resp.* zatrucie wody rzecznej itd.



Dr Józef Mniszek Tchórznicki. Fotografia z nekrologu².

² „Świat – Pismo Tygodniowe Ilustrowane”, nr 32 z 6 sierpnia 1910 r., s. 21.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 5 z 18 stycznia 1899 r.]

Andrzejów, (pow. ostrowski). Zarząd parafii tutejszej, głównie zaś ks. proboszcz miejscowy, stara się o wybudowanie nowego domu kościelnego dla wikariusza, gdyż obecne dwa domy należące do probostwa są tak niehigienicznie wskutek panującej w nich wilgoci, że po prostu niemożliwe są do zamieszkania. To też wikariusz musi sobie wynajmować mieszkanie. Na odbytem w tym celu zebraniu ustanowiono składkę z morga, czemu jednak sprzeciwiają się głośno właściciele folwarczków. W ogóle o zgodę u nas trudno. Oto niedawno radziliśmy nad założeniem sklepu udziałowego chrześcijańskiego. Alisci znalazł się pan, który cały ten projekt potępił, rzucił więc ziarno niezgody i rzecz ostatecznie do skutku nie doszła. Szkoda, bo cały handel w naszym miasteczku jest w ręku Żydów, Może co do owego domu, o którym wspominałem, dojdziemy pręcej do zgody.

Servus.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 7 z 24 stycznia 1900 r.]

Szulborze (pow. Ostrowski). Jak olbrzymią jest praca gminnych pisarzy dowodzi fakt, że w przeszłym roku papierów urzędowych zapisano do dziennika – 3.676, dodajmy do tego wiadomości statystyczne różne i częste, sporządzane na kilkudziesięciu arkuszach, nakazy różne do sołtysów, które na tysiące liczyć można, częste wyjazdy do urzędu powiatowego odległego przeszło o 20 wiorst, kilkakrotne uchwały rewizje, księgi ludności i kasy zaliczkowo-wkładowe i wiele innych czynności, związanych ściśle z obowiązkiem tych molów w ludzkiej postaci, zapracowanych bez nadziei lepszego jutra, nieznających co to godzina biurowa, bo nieraz całe noce ślęczących w kancelarii zimnej, szczupłej, przepełnionej stęchlizną: możemy choć w przybliżeniu wystawić sobie ich los ciężki. Szczęśliwy pisarz, jeżeli nie otrzymuje częstej translukacji, rujnującej materialnie.

Dopóki dla szkoły było wydawane drzewo z lasów rządowych darmo, furmanki gminne zwoziły obowiązkowo i bezpłatnie, a na wyrąbanie 3½ sążni kubicznych³, ogół przeznaczył 30 rubli, dopóty wójt gminy sam dostarczał opału, bo taki był przepis. Zwózka drzewa trwała czasem z pół roku, furmanek wysyłano po 3 sążnie z ułamkiem z – 80, a swoją drogą dzieciom w klasie było zimno, i w mieszkaniu nauczyciela temperatura była taka, jak na dworze. Nastąpiła obecnie zmiana: Zarząd leśny cofnął opał bezpłatny, a gmina na kupno drzewa z odstawą łącznie przeznaczyła aż... 10, wyraźnie dziesięć rubli. (Suma 30 rb. nie zmieniona). Wójt uznał za stosowane zdać opalenie domu szkolnego nauczycielowi.

„Puszczyk”

³ 1 sążeń kubiczny = 6,82 m³, [za:] C. Kochanowski, *O jednolite miary w przemyśle leśnym*, Lwów 1919 [przyp. aut. oprac.].

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW.

(Dalszy ciąg).

Zmniejszenie dochodów kurpiowskich wywołało również rabunkowe rybołówstwo jakie ze wzrostem ludności coraz bardziej wyczerpuje z ryb, znane ze swej rybności rzeki puszczańskie. Dochody te były dawniej dość znaczne i w niektórych wioskach Kurpie nie tylko opłacali nimi podatki i inne ciężary z osad, ale pozostawało im nawet dość dużo pieniędzy do podziału między gromadę. Tak na przykład wieś Jednorożec nad Orzycem pobierała niegdyś po tysiąc, a nawet po 1200 rubli rocznej dzierżawy z rzeki. Wprawdzie tak wygórowaną dzierżawę otrzymywali głównie za raki, w jakie Orzyc obfitował, jednakże i ryby stanowiły dość znaczną pozycję dla dzierżawcy. Obecnie raki wyginęły zupełnie, pomimo, że jednorożacy parę razy na nowo zaraczali rzekę i doprowadzali ją do dość znacznej obfitości raków.

Nie wiem, czemu przypisać to powszechne wyginięcie raków, jakie nastąpiło nie tylko na Puszczy, ale i w innych okolicach kraju, zdaje mi się jednakże, że zarówno rakom, jak i rybom nie może dobrze robić powszechne moczenie łąk w rzekach przez lud wiejski, które ze wzrostem ludności, coraz więcej je zatruwają.

Znaczne zmniejszenie ilości ryb w rzekach, które niegdyś w nie obfitowały, spowodowało ciągle – ryczałtowe tępienie ryb przez stałe rabunkowe rybołówstwo, jakie prowadzą wiejskie baby i dzieci, wyławiając na mieliznach najdrobniejsze rybki kłomniami i przez urządzenie przez chłopców zasięki i różnych zagród w rzekach, przy których zatrzymują się i gromadzą ryby. Zwłaszcza podczas zimy zasięki te są zabójcze dla ryb, gdyż te ostatnie, gromadząc się pod niemi, giną pod lodem z braku powietrza, wrodzone zaś Kurpiom lenistwo i zazdrosna obawa, żeby kto inny nie wyłowił ryb z wyrąbanych przerębli, przeszkadza przerąbianiu lodów.

– Tak ja przerąbię lód, a drugi pójdzie i ryby wyłowi?! Nie chcę. – To też niedawno, kiedy silniejsze mrozy ścięły rzekę grubym lodem, ryb nadusiło się takie mnóstwo, że cała wioska, jak to mówią, wybiegała nad rzekę i workami noszono ryby wielkości nieraz ręki człowieka do ramienia, które nie miały jeszcze żadnych znaków zepsucia. A ileż przepadło ryb, które nie warto już było podnosić.

Tu należy przypomnieć, że tak samo jak w przerąbianiu lodów, egoistyczna zazdrość kurpiowska tamuje w ogóle zaprowadzenie wszelkich ulepszeń dla wspólnej korzyści całej wioski. Tak na przykład jedną z głównych przyczyn, przeszkadzających skolonizowaniu szachownic, jest zazdrosna obawa, żeby któremu z sąsiadów nie dostała się lepsza kolonia.

– Tak, może mnie wypadnie iść pod bór, a ty będziesz pode wsią siedział?! Nie chcę wcale.

Nie myślą o tem, że obecnie każdy z nich częściowo pod borem siedzi i to nie w jednym miejscu, ale w różnych stronach; że przy komasacji gruntów wskutek znacznego zwiększenia ogólnego obszaru przez rozoranie licznych miedz i drózek, można by było wymierzyć tak kolonie, że wartościowo byłyby zupełnie równe, zwłaszcza, jeżeli pola są prawie jednakowej wartości, jak np. w Jednorożcu, że każdy z nich, chociażby otrzymał najgorszą kolonię, będzie

mu jeszcze lepiej, niż obecnie w szachownicy – tylko wybiegają naprzód zazdrosną myślą i obawiają się, żeby który sąsiad nie miał jeszcze lepiej od nich!

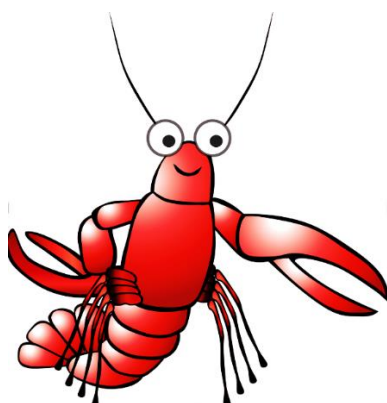
Tak więc powszechny brak miłości bliźniego, jakiego owa egoistyczna zazdrość jest objawem, wywiera złe skutki nie tylko w sferze duchowej i moralnej, ale jest najzgubniejszy i dla materialnych, realnych interesów zakamieniałych egoistów.

Powyższe wszystkie źródła dochodów puszczańskich, jak pszczelnictwo, wyrób samodziałów, rybołówstwo, koszykarstwo – stanowiły zawsze poważną pozycję w skromnym budżecie Kurpia. Zwłaszcza hodowla koników dawała mu znaczne zyski i z zamiłowaniem się nią zajmował. Zanik więc tych źródeł dochodu przy jednoczesnym zwiększeniu się wydatków tym więcej Kurp odczuł, zwłaszcza, że nie umie wynaleźć innych źródeł, które by mu dawne zastąpiły. Jedynie z przychówku rogacizny Kurpie utrzymują jeszcze jako taki dochód – chociaż i ten stopniowo się zmniejsza wskutek coraz większego zabagniania i porostania mchem puszczańskich łąk i paśników, jakich oni nie osuszają przez kopanie rowów i oczyszczanie rzek. Siano więc mają liche, a podczas lat deszczowych nieraz go wcale nie zbierają, inwentarz zaś, brodząc przez całe lato po mokrych paśnikach, z nastaniem zimy pada całymi masami, tak że w niektórych wioskach podczas jednej zimy – ginie po kilkadziesiąt sztuk. We wsi Jednorożec np., która posiada ok. 100 włók łąk i paśników, osady zaś składają z przeszło 44 morgów obszaru, paru zaledwie gospodarzy ma do 10-iu sztuk rogacizny, kilku od 5-6 sztuk, reszta zaś chowa zaledwie po dwie krowy, a wielu jest już i takich, których cały dobytek stanowi jedna krowa.

Tu znowu przypomnę, że jedną z ważnych przyczyn, dla których Kurpie nie biorą się do kopania rowów i osuszania niezmiernych łąk swoich i paśników, jest również brak miłości bliźniego, przez który nierozsądnie chciwy samolub, wybiega naprzód myślą zazdrosną i obawia się, żeby sąsiad nie lepiej na tem wyszedł od niego.

– Tak, może przez moją łąkę wypadnie rów kopać, a drugi przez to będzie miał lepszą trawę? Nie chcę wcale. Za nic to, że on sam będzie miał więcej i lepszego siana, niż obecnie posiada, za nic, że będzie miał suchszy i zdrowszy paśnik dla swego dobytku, że będzie mógł przez to chować go więcej i lepiej żywić, za nic, że tak znaczne korzyści osiągnie poświęceniem niewielkiego skrawka zaledwie jednej z łąk, jakich posiada znacznie więcej w łącznej szachownicy i wszystkie je będzie miał osuszone z osuszeniem całego obszaru, byleby tylko sąsiad nie osiągnął korzyści i z oddaniem tego skrawka moczarów, jaki on musiał na ów rów poświęcić.

(C. d. n.)
Dominik Staszewski.



[„Kurjer Warszawski” nr 73a z 13 marca 1884 r.]

Z Łomży donoszą nam o wypadku jaki wydarzył się niedawno we wsi Jaszczuły, w powiecie ostrowskim.

Mieszkaniec tej wsi Tomasz Kozetka, zabił pałąk przybyłego doń strzelca rządowego Tomasza Kandybałowicza.

Przyczyną zbrodni miało być podejrzenie o stosunek miłosny gościa z żoną gospodarza.

[„Życie i Praca”, nr 73 z 10 września 1925 r.]

Z Ostrowia. W nocy z 26 na 27.VIII b. r. we wsi Jaszczuły [chodzi z pewnością o wieś Jaszczuły w ob. gminie Długosiodło], gm. Brańszczyk, pow. Ostrowskiego zostali zamordowani przez nieznaną sprawców na tle rabunkowym Wieczorek Józef l. 60, żona jego Rozalia l. 60, córka ich Aleksandra Gołębiowska lat 32 i mąż tej ostatniej Aleksander Gołębiowski l. 34 oraz silnie pobita 8-letnia dziewczynka, która nad ranem przyszła do przytomności i jest nadzieja, że będzie żyła. Wszyscy zamordowani mają rany tłuczone. Bandyci zrabowali zabitym 234 dolary, które Wieczorkowie otrzymali z Ameryki.



Trzcianka, wrzesień 1939 r. Źródło: Fotopolska.eu – ocalić od zapomnienia *fotopolska.eu*.